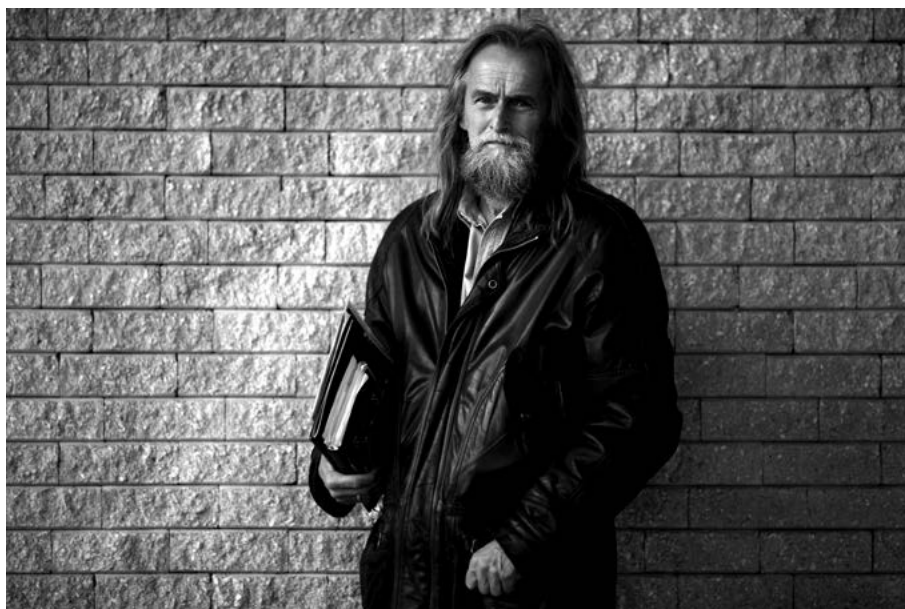


W niewłasne imię słabych definicji

Z profesorem Tadeuszem
Sławkiem, laureatem Nagrody im.
A. Mickiewicza, o uchodźcach
i u-chodzeniu, „własnym” geście
pisarskim, uniwersytecie
i studentach oraz książce Anny
Cieplak *Ma być czysto* rozmawia
Krzysztof Hoffmann



Fot. z archiwum prywatnego Tadeusza Sławka

Panie Profesorze, pierwotnie miałem inny pomysł na punkt wyjścia wywiadu, ale ostatnie wydarzenia w dyskursie publicznym sprawiły, że bardzo mocno brzmiały w mojej pamięci Pańskie słowa z mowy po otrzymaniu nagrody. Odwołał się Pan wówczas do chrześcijańskiego dziedzictwa Polski, konotowanych przez owo dziedzictwo wartości i do sytuacji, że nie jesteśmy w stanie przyjąć siedmiu tysięcy uchodźców. Dzisiaj Pana książka *U-chodzić* wraz z kluczowymi kategoriami „uchodźcy” i „u-chodzenia” nabiera dodatkowych znaczeń. Przekonanie, że w relacji z Innym musimy coś z siebie oddać, ustąpić mu miejsca, wyraźnie wywodzi się z chrześcijańskiego pnia. Czy – przewrotnie – aktualny lęk, że trzeba będzie uchodźcom oddać za dużo, nie świadczy o bardzo mocnym (choć niewłaściwym) inkorporowaniu tej myśli?

Kategoria „uchodźcy” jest kategorią, którą byłoby warto upowszechnić. Dzisiaj została ona sprowadzona do jednego zjawiska zajmującego pierwsze strony gazet. Natomiast w głębszym rozumieniu wszyscy jesteśmy uchodźcami, ponieważ jest to kategoria, która zapisuje nasz stosunek do życia, albo odwrotnie: stosunek życia do nas. Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że polszczyzna zna taką piękną i ciekawą frazę „u-chodzić z życiem”. Każdego dnia u-chodzimy z życiem, bo życie nie ma żadnego obowiązku podtrzymywania jednostki A, B czy C przy dalszym trwaniu, a jednak do pewnego czasu trwamy. A więc

u-chodzenie z życiem, ale też przed życiem, które nas kiedyś zagarnie i powie „koniec”, jest takim podstawowym, wręcz elementarnym żywiołem ludzkiego istnienia.

Natomiast strach przed tym, że oddamy za dużo, jest oczywiście na płaszczyźnie czysto politycznej uprawianiem polityki strachu, z lęku przed oddaniem władzy. Aby strach przed oddaniem władzy był skuteczny, musi generować różne konkretne strachy: przed uchodźcą, emigrantem, mikroblem, zarazkiem, bakterią. Może mieć wielu nosicieli.

Muszę uczciwie powiedzieć, że kiedy książka *U-chodzić* trochę sama się przez lata pisała zawartymi w niej fragmentami, nie miała uchodźcy z pierwszych stron gazet na względzie. W większym stopniu istotny był właśnie ten egzystencjalny wymiar u-chodzenia z życiem przed życiem, które w ostatecznym rozrachunku będzie u-chodzeniem nieskutecznym, bo w którymś momencie życie będzie musiało ze mnie zrezygnować. I ja nie będę miał w tej materii nic do powiedzenia.

Więc polityczny strach to uporczywe trzymanie się tego, że zawsze muszę mieć coś do powiedzenia, że muszę mieć słowo. I to nawet nie musi być ostatnie słowo, ponieważ politycy mają przed nim strach. Ostatnie słowo może oznaczać, że oto przyjdzie ktoś inny, kto będzie miał pierwsze słowo. Politycy chcą mówić w sposób ciągły, stały i nieprzerwany. Tymczasem u-chodzenie zakłada również przerwę w języku, a tego politycy boją się jak ognia.

Dzisiaj książka opalizuje jednak innym odcieniem.

Niechący. Opowiem anegdotkę: nie wiem, jak to się stało, wydawnictwo też nie wie, jak to się stało, ale dziwnym trafem z tej książki znikł podtytuł, a brzmiał on *Rozważania o kolei rzeczy*, który właściwie wszystko tłumaczył. Potem się zreflektowałem, że może dobrze. Na okładce są piękne grafiki Jana Szmatlocha przedstawiające tory i może byłoby to łopatologiczne. Wspominam jednak o tym, ponieważ podtytuł sporo tłumaczy: to *jest* o kolei rzeczy.

Jednak lęk polityczny jest trochę innym lękiem niż ten, który odzywa się później w obywatelach. Owszem, wskaźniki zaufania społecznego do obywateli pokazują, że ostatnie zmiany są wywołane aktualnym dyskursem politycznym. Jest jednak jeszcze ta Derridiańska myśl, że w relacji z tym, co przychodzi, trzeba zrobić mu miejsce, po to aby prawdziwie mogło przyjść. Powracam do teologicznego wymiaru tego przekonania i do Pana tekstów. Na przykład do *Czego literaturoznawstwo może się nauczyć od religii chrześcijańskiej*. Mając w pamięci ten tekst i (krypto)teologiczną kategorię uchodźcy jako tego, kto przychodzi, chciałbym spytać: czy taka relacja z drugim jest jedynym istotnym dla Pana modelem wspólnoty?

Po pierwsze, ważne jest, aby w ogóle zadawać pytania o wspólnotę, ponieważ w dyskursie publicznym panuje przekonanie, że to coś, co jest nieproblematyzowalne.

I największy grzech, jaki wedle dyskursu publicznego jednostka może popełnić, to zadawanie sobie pytania o wspólnotę. Po prostu mamy wspólnotę zadekretowaną, co więcej, ta wspólnota ma pewne wyraźne parametry i teraz walczy o swoje bezpieczeństwo. Ale jednocześnie ta sama wspólnota nie zadała sobie w ogóle wcześniej pytania, kim ona jest, jakie mechanizmy ją tworzą. Dzisiaj, jak się dowiaduję, takim mechanizmem na płaszczyźnie czysto politycznej jest pewien określony światopogląd, ale zakotwicza się on w czymś, co nazwałbym dość karykaturalną wizją chrześcijaństwa.

Wydaje mi się, że chrześcijaństwo jest kwestią słabej definicji. Teraz mamy do czynienia z chrześcijaństwem silnej definicji, która musi być natychmiast definicją silnie wyłączającą, odłączającą. Już mówiąc tak bardzo przyziemnie: tak silnie zdefiniowane chrześcijaństwo, to znaczy chrześcijaństwo narodowe, polskie, nieuznające rozwodników, nieuznające antykoncepcji czy in vitro i tak dalej, moim zdaniem jest zaprzeczeniem tego, czym chrześcijaństwo być powinno, to znaczy *znaku sprzeciwu*. A sam sprzeciw, mimo że mówi często mocnym głosem, w zasadzie wypowiada się zawsze w imię definicji słabych, ponieważ jego interesem jest występować przeciwko temu, co mocne, i żeby nie popełnić grzechu rewolucji, to znaczy żeby nie dopuścić, żeby słabe urosło i zajęło miejsce mocnego, czyli do odwrócenia klepsydry. To jest śmiertelnym zagrożeniem dla każdej rewolucji.

Opowiadałbym się zatem za chrześcijaństwem słabej defi-

nicji. Wiem oczywiście, że w tym momencie w wymiarze ideowym narażam się pewnej dobrze ukonstytuowanej wizji chrześcijaństwa. Takiego mocno upolitycznionego i definiującego wspólnotę w sposób silny. Ale takie posłużenie się chrześcijaństwem jest właściwie niszczące, ponieważ wspólnota jest dla mnie zawsze mierzona stopniem, w jakim jest gotowa otworzyć się na to, co inne. Wspólnota zamurowana nie jest żadną wspólnotą. Tak samo jak udawanie wielkiej cnoty w momencie, gdy nie było się wystawionym na żadną pokusę, żeby przypomnieć słynne kwestie z powieści gotyckiej, na przykład słowa zakonnicy do księdza z *Mnicha* Lewisa. Wydaje mi się, że robimy wszystko, żeby nie wystawić się na próbę.

A bycie ludzkie – nawiązując znów do u-chodzenia – jest nieustannym próbowaniem. Stąd na starość wracam do Montaigne'a i do niezwykle błyskotliwego sposobu, w jaki Tadeusz Boy-Żeleński przełożył *Eseje*, właśnie nie jako „eseje”, ale jako „próby” (choć koledzy z Poznania donoszą mi, że przymierzają się do nowego przekładu i byłoby fajnie, gdyby powstał). Jestem bardzo przywiązany do idei próbowania. Wspólnota musi próbować, a my jesteśmy wspólnotą, która nie chce niczego spróbować, bo wszystko już wie.

Zmierzamy zatem do Pańskich „prób”, do pisania. W duchu pewnej klasycznej wykładni dekonstrukcyjnej można by powiedzieć, że *U-chodzić* dokonuje odwrócenia w wartościowaniu słowa „u-chodzenie”. To nie sytuacja wyjątkowa, ale permanentny stan egzysten-

cyjny. Myślę o owej literze „u”. Na jej dekonstrukcyjny rodowód wskazuje Pan w samej książce: „To «u» oznacza odnawiający się dystans rozsuwający swą siłą nawet, zdawałoby się, najbliższe sąsiedztwo. Jacques Derrida mógłby powiedzieć, że to niespożyta i nieogarnięta energia *différance*”. Tak prosto jak można – czy jest Pan dekonstrukcjonistą?

Myślę, że każdy, kto się deklaruje jako dekonstrukcjonista, jest na dobrej drodze, aby sprzeniewierzyć się wszystkim zasadom dekonstrukcji. Ponieważ ona sama jest nieustannym próbowaniem. Dekonstrukcjonista tylko ciągle próbuje być dekonstrukcjonistą. Wykładając kawę na łąkę: cenne jest uporczywe naleganie Derridy, aby mówić nie o dekonstrukcji, ale o dekonstrukcjach. Liczba mnoga zakłada od razu odejście od wszelkiego rodzaju ortodoksyjnych wersji: to jest dekonstrukcją, a to nie. Więc jeśli szuka Pan mocnych definicji to nie, nie jestem dekonstrukcjonistą.

A litera „u”, to znaczy pytanie o Pana pisarstwo i to, jak Pan sam je określa? Podczas rozmowy towarzyszącej nagrodzie mówił Pan o kategorii hybrydyczności, o „byciu kundlem”. Nie wiedziałem o ucieczce podtytułu z *U-chodzić*, ale zwróciłem uwagę na określenia gatunkowe w tytułach innych Pana tekstów: *Fragmenty do poezji Georga Trakla* albo *Esej na głos i kontrabas...* Jasne, eseje jest bardzo pojemną kategorią, ale kontrabas i tak mieści się w niej z wielkim trudem. Pisze Pan też wiersze. Ktoś mógłby argumentować, że *Esejowi na*

głos i kontrabas bliżej do poezji niż do jakiegokolwiek innej formy wypowiedzi. To nieustanne przesuwanie granicy jest wpisane w ogólne działanie dekonstrukcyjne, ale u Pana jest – z braku lepszego słowa – bardzo „własne”.

Złapię się tego słowa. Jeśli jest ono własne, to bardzo bym chciał, aby było to własne na sposób paradoksalny. Kłopot z esejem jest taki, że na przykład zachęca on do wypowiedzi w pierwszej osobie, co dyskurs naukowy odradza, choć to się ostatnio trochę zmienia. Tymczasem w pisarstwie eseistycznym, jeśli ma być ono prawdziwe, to musi wypływać od siebie. Z drugiej strony nie można popaść w pierwszą osobę bez reszty. To jest pisanie *sobą*, ale nie o *sobie*. Co jest zapewne trudną sztuką do osiągnięcia. Jeżeli moje pisanie jest *własne*, to chciałbym, aby było takie o tyle, o ile coraz bardziej będzie wymazywało mnie. Żeby to było słyszalne, że to ja mówię, ale nie tak, że to ja jestem ważny albo że jest *mnie* dużo. Jeszcze jedno ważne słowo na „u” – chciałbym *u-mniejszać*. To ładna kategoria wypracowana przez naszego wielkiego pobratymca śląskiego, Anioła Ślązaka, *Verkleinerung*.

Często się pojawia w Pana pisarstwie.

Tak. Bardzo ją lubię. Więc własne nie w sensie imienia własnego albo własności, tylko własne jako u-chodzące, moje, ale ze świadomością, że to moje się rozwieje, umknie, że niczego po sobie nie pozostawi. Nawet mnie. W tym sensie własne, że jednoosobowe, ale nie własnościowe.

Dlatego też drążę kategorię eseju. Nie chodzi o imiona własne, które będziemy przypinać do Pana pisarstwa, ale na przykład o pytanie, czy uprawia Pan tak zwane pisarstwo akademickie.

Mówiąc prosto z mostu, nie neguję wagi tego pytania, ale dla mnie jest ono drugorzędne. Nie obśmiewam sceny, na której pytanie to jest aktorem, ale jego waga objawia się na przykład przy sprawozdaniach, które instytut musi wykazywać co roku. No i gdzie to moje pisanie w ogóle zaliczyć.

O to właśnie pytam. O władzę, która stoi za oczekiwaniami wobec pisarstwa akademickiego.

Skoro tak Pan to ujmuje, to w tych kategoriach moje pisarstwo akademickie nie jest. Jest w pewnej mierze prowokacyjne, ponieważ pojawia się w obrębie akademii, wydaje je wydawnictwo akademickie, więc w jakiś sposób pieczętuje. Z drugiej strony cały czas powinno w tym być pytanie o to, czym jest akademia. A tego pytania: co to jest akademickość i działanie akademickie, nie zadajemy, tak samo jak nie pytamy o to, czym jest wspólnota. Pytań zasadniczych – *co to jest* – się nie zadaje. To słaba strona życia akademickiego.

Właśnie dlatego pytam – jakkolwiek na to spojrzeć – rektora uniwersytetu, którym był Pan w latach 1996–2002, personę centralistycznej władzy akademickiej.

Niestety.

Pisarstwo świadomie będące w kontrze do pewnej konwen-

cji akademickiej powinno być z miejsca przez instytucję docenione, ponieważ zmusza ją do przemyślenia własnych warunków. Tymczasem nie zawsze przecież tak jest.

Wymknęło mi się „niestety”, ale teraz cofam to. Zjadam moje słowo. Mam na myśli nadchodzące zmiany w prawie, które, jak sądzę, jest już napisane i tylko widzimy pozory konsultacji. Główną zmianą, którą środowisko przyjmuje z zadziwiającym milczeniem, jest skasowanie wyborów rektora. Dlaczego zatem zjadam to słowo? Ponieważ wydaje mi się, że rektor wybrany z akademii – będąc uczonym w najbardziej klasycznym tego słowa rozumieniu, jeśli jest człowiekiem uniwersytetu, a chcę wierzyć, że takich wybieramy – zrozumie tego rodzaju pisanie. Natomiast rektor wybrany przez radę nadzorczą lub przez konwent będzie menedżerem – nie zrozumie i nie będzie mu wolno tego zrozumieć, ponieważ nie zmieści mu się w żadnej tabelce.

Zatem cofam „niestety”, ponieważ okazuje się, że możemy bardzo szybko dożyć czasów, kiedy dopiero zobaczymy, co to znaczy centralna władza rektora-menedżera wybranego przez radę nadzorczą. Obym się mylił, ale wstępne pomruki, które idą ze strony ciał pracujących nad nowym prawem, wskazują wyraźnie w stronę struktury korporacyjnej, gdzie ten, co jest na czele, ma zawsze rację i jest naczelnym dysponentem prawdy. Wydaje mi się, że rektor wybierany z uniwersytetu, reprezentując władzę, miał spore pole manewru, aby tę centralizację w stosownych chwilach rozpuszczać. Nie

chwaląc się, ale trochę za moim poduszczeniem dzisiaj na radzie wydziału przyjęliśmy uchwałę wyrażającą głęboki niepokój z tych powodów.

I tym samym spełnia się proroctwo z Pana *Antygony w świecie korporacji*, a sama książka znów zaczyna opalizować innym odcieniem niż w momencie pisania. Tak samo jak Pana słowa, że ani profesorowi, ani studentowi nie zależy na pasji, tylko na pensji. Przecież jeśli akademik nie zacznie mieścić się w oczekiwaniach systemu (i z tego powodu nie będzie mógł pisać tego, co i jak chce pisać, a zarazem będzie dobrze wiedział, co musi pisać, i znał sposób, w jaki musi pisać, najlepiej według anglosaskiej formy rozprawki), w pewnym momencie zwyczajnie straci pracę.

Po części ten proces już się dzieje. Z całym szacunkiem dla grantów – które wiem, że być powinny, ale nie tak ustawione, jak u nas są – widzę, że młodzi ludzie już dopasowują do nich swoje zainteresowania, czasem robiąc to na siłę i czasem zdając sobie sprawę z tego, że robią to na siłę. Rozpaczliwie starają się zmieścić swoje zainteresowania w tym, co im struktura władzy wyznacza. A tak nie powinno być. Rozumiem, że państwo płaci, utrzymuje i powinno mieć dużo do powiedzenia w tej materii. Ale tworzenie jednego gorsetu obowiązującego dla wszystkich jest poważnym zagrożeniem dla istnienia uniwersytetu.

W kontekście Pana działalności akademickiej Pański następca, rektor Janusz Janeczek, zwracał uwagę na cztery cechy.

Wymieniał: przyjaźń, gościnność, wspólnotę i inspiracje teologiczne. One znajdują się u Pana chyba zarówno w wizji pisarstwa, jak i uniwersytetu – uniwersytet jako wspólnota ludzi przyjaźniących się, gościnna na wzór chrześcijańsko słabej konstrukcji. To zupełnie odmienny kierunek od tego, jaki obiera dzisiejsza akademia.

Jednym z błędów, które uniwersytet permanentnie popełniał i chyba nigdy z niego nie wyszedł, jest to, że zawsze myślał o sobie jako o zupełnie odrębnym etapie kształcenia, podczas gdy my jesteśmy tylko *jednym z*. Zupełnie zaniedbaliśmy w naszym myśleniu o sobie to, co się dzieje przed nami. Kiedy minister Handke wprowadzał swoją reformę, to niezależnie od zespołów, które opracowywały konkretne przedmioty i podstawy programowe, pytał właściwie uniwersytet tylko o jedną rzecz: jak zrobić, aby matura była wstępem na uczelnie. Nie było natomiast poza zespołami pracującymi nad minimami poważnej rozmowy na temat tego, jaką szkołę my chcemy mieć, kogo z niej chcemy wypuścić. W efekcie trzyletnie liceum wymagało już specjalizacji, decyzji, kim chce się być w przyszłości, co skutecznie obniżyło poziom wykształcenia ogólnego. Jak dowiodły ostatnie matury, uczniowie uzyskiwali marne, kompromitująco słabe wyniki w przedmiotach społecznych, punkty bowiem z tych przedmiotów nie były im do niczego potrzebne przy staraniu o przyjęcie na studia.

W istocie, i to jest po trosze nasza wina, daliśmy sobie

wyrwać pojęcia, które politycy nam „zabrali”, a myśmy tylko się biernie temu przyglądali, nie starając się obronić ich powagi, by wymienić choćby przymiotnik „użyteczny”. Dzisiaj wszyscy politycy mówią, że edukacja ma być użyteczna. Ale znów, nikt nie pyta, co to znaczy „użyteczna”. Daliśmy sobie wmówić, że użyteczne jest coś, co nauczone w poniedziałek, we wtorek sprzeda się na rynku pracy. Jestem ostatni, który by lekceważył rynek pracy. Praca jest bardzo poważnym wyzwaniem i bardzo poważnym powołaniem w życiu człowieka, ale kształtowanie *charakteru* pod kątem rynku pracy wydaje mi się, mówiąc językiem dyplomatycznym, chybione, by nie użyć mocniejszego określenia. Otóż mam tu za złe również naszemu środowisku, że tak mało na ten temat mówiło. Pojęcie „użyteczne” jest bardzo szlachetne, tylko trzeba sobie zadać pytanie: co to jest „użyteczne”, w jakiej perspektywie czasu użyteczne, użyteczne do czego: może są różne piętra użyteczności, które się nadbudowują nad sobą. W efekcie powstało pojęcie zbanalizowane, zwulgaryzowane, strywializowane. Ono doprowadziło do tego, że dzisiaj na wykładzie, podczas którego odchodzi się w stronę spraw ogólnych, student się nudzi, traci wątek i mówi: „Proszę pana, to jest nieużyteczne”. W tym momencie nasuwa się pytanie: czy to jest w ogóle jeszcze jakakolwiek edukacja, czy może już tylko trening kompetencji zawodowych, z całym szacunkiem dla tych ostatnich?

Chyba rozumiem, co ma Pan na myśli. Gdy po raz kolejny podczas zajęć pytam studentów,

czy w sali na pewno są ściany, sami bledną jak ściana i mówią „tylko nie to”.

No tak. Biskup Berkeley tutaj nie zatriumfuje [*śmiech*].

Dlatego też nie zgodziłbym się z Panem i powiedział, że Pana pisarstwo jest bardzo uniwersyteckie. Tylko że w innej wizji uniwersytetu.

Proszę też pamiętać, że ja nie mogę rościć sobie żadnej pretensji do tego, że moja wizja uniwersytetu jest jedyna słuszna. Jestem już częścią generacji, która z uniwersytetu odchodzi. Najbliższy rok jest dla mnie ostatni. I mam wszelkie prawo, żeby mówić o mojej wizji, żeby ją reprezentować, żeby w nią wierzyć, ale byłbym bardzo ostrożny w narzucaniu jej komukolwiek. Zgadzam się z panem, że po 15 latach *Antyгона w świecie korporacji* okazała się prorocstwem, ale nie sprawia mi to wielkiej satysfakcji.

Mam z doktorantami taki kurs, który się nazywa „Uniwersytet jako instytucja publiczna”. Krótki, dziesięciogodzinny, więc nie ma czasu na wiele, ale robimy tam trochę tekstów i widzimy jak uniwersytet się zmieniał, że zupełnie inny był uniwersytet kardynała Newmana, który bardzo pięknie chciał kształcić osobowość człowieka, z którym innym jest dobrze; że pięknie o uniwersytecie pisał Kant, twierdząc, że bez czytającej publiczności nie ma demokracji. Dla sporej części studentów to wydaje się ciekawe, ale już tylko historycznie. Proszę też pamiętać, że dla wielu z nich uniwersytet jest zaledwie *jednym* z miejsc

pracy. Doktoranci z pewnością, ale myślę, że i wiele studentów stopnia licencjackiego uważa uniwersytet za coś w rodzaju pracy, której wyznacznikiem jest praca dyplomowa, i równocześnie pracuje w innych miejscach. Z jednej strony pewnie muszą i to trzeba uszanować, z drugiej żyją w panice, że się nie zmieszczą na rynku pracy, z którego, raz wszedłszy, już się nie schodzi. Stąd też zapewne słabnące zainteresowanie kontynuowaniem tego samego kierunku na studiach magisterskich. Przekonanie, że magisterium trzeba zrobić z „czegoś innego”, jest wymuszone rynkiem. To papier, który mówi, że jest się specjalistą w jeszcze „czymś innym”. Mamy więc do czynienia z innym niż przed laty studentem – takim, który w niewielkim stopniu jest zainteresowany kształceniem osobowości, ponieważ nawet jeśli dostrzeże w tym jakiś sens, to jest to zbyt czasochłonne, kosztochłonne i wydaje się czymś na kształt luksusu, hipsterskiego pięknoduchostwa. Studenci są spragnieni szybkiej praktyki. Z jednej strony potrafię to zrozumieć, z drugiej mam pretensję o to, że nie widzą związku między praktyczną umiejętnością zawodową a obowiązkiem doskonalenia siebie jako osobowości.

Jednym z grzechów, jakie popełniliśmy w całym procesie edukacyjnym i kulturowym, jest wmówienie ludziom, że życie dobrze spędzone, w greckim sensie *eu dzen*, to życie dobrego zawodowca. Wydaje mi się, że jest całkowicie odwrotnie. Bycie dobrym zawodowcem, który działa dobrze wśród ludzi i dobrze oddziałuje na ludzi, to takie zawódstwo, które

się zakorzenia w byciu dobrym człowiekiem. Wszyscy znamy świetnych specjalistów, z którymi nie możemy się porozumieć, ponieważ nie widzą nic poza swoimi umiejętnościami. Przykład lekarza – nie żebym miał jakiś spór z lekarzami, to tylko przykład – który nie słucha pacjenta, gdyż uważa go tylko za nosiciela symptomów. Chwała Bogu, że on chce symptomy leczyć, ale system, dając mu dziesięć minut na pacjenta, sprawia, iż lekarz nie docenia faktu, że rozmowa, rozumne wysłuchanie, jest już terapią. W wielu przypadkach: ludzi starszych, słabszych, to już jest terapia. Priorytet zawodowstwa – proszę zwrócić uwagę na zadziwiającą karierę przymiotnika „profesjonalny” – został ustanowiony na wyrost. Nie abym chciał amatorszczyznę wysławiać, ale zaniedbaliśmy głębę, z której powinno zawódstwo wyrastać.

A jednocześnie „amator” ma przecież w sobie *amo*.

Dlatego mówię o „amatorszczyźnie”, nie o „amatorstwie”.

Łączę teraz rozmowę o studentach z Pana pisarstwem. Może Pan nie wie, ale w Poznaniu mamy taki niemiły zwyczaj, że laureatów nagrody od razu w akademii kanonizujemy i zadajemy ich książki do lektury, więc studenci zgadują pytania egzaminacyjne na podstawie listy laureatów. Nawiązuję teraz do konkretnej sytuacji: rozmawiałem z bardzo przytomnym studentem o Pana pisarstwie. Ów student powiedział, że nie wszystko do niego jednakowo trafia, chyba największy problem

miał z wierszami *O głodzie*. Nie jestem w tej chwili pewien, czy problem wiązał się z formą, czy z doświadczeniem tam zawartym. Mojego rozmówcę przekonywała jednak eseistyka. Syntetyzując tę część Pana dorobku, z którą się zapoznał, użył frazy, którą szybko zanotowałem; stwierdził, że widać, iż zachował Pan „ciągłość egzystencjalnego wątpienia”.

To trafna fraza. Wpisuje się w to, od czego zaczęliśmy, w myślenie słabą definicją. Jestem wdzięczny temu młodemu człowiekowi za adekwatność słów.

Z *Głodem* mogą być problemy, o których wspominam w jednym z wierszy, zresztą dobrze je rozumiem – zostawiam przy tym na boku kwestie jakości estetycznej, bo wiersze mogą być różnie oceniane przez czytelników. Mam na myśli sytuację, że o głodzie zwykle najlepiej mówią ci, co się najedli. Głód jest takim niebezpiecznym pojęciem, które z jednej strony może rodzić ryzyko przeromantyzowania, a z drugiej wrażenie klepania po ramieniu przez człowieka, który jest najedzony i coś tam sobie mówi. To pojęcie wybrałem specjalnie, ponieważ jest ono dla mnie figurą braku, figurą niepełności i niepewności pewnie też. Ale zgoda, to jest pojęcie historycznie i społecznie trudne.

Cieszyłbym się, gdyby Państwo Czytelnicy mieli takie wrażenie, że tu jednak chodzi o projekt egzystencjalny. Podobnie mi się to samemu układa, choć zapewne nie jestem tego do końca świadomy, ale gdyby czytelnik odnosił takie wrażenie, byłbym szczęśliwy.

Przede wszystkim chodzi o życie? Nie o inne, ważne, ale jakby trochę mniej, obszary: literaturę, spekulatywną obróbkę pojęcia...

Zgadza się. Dzisiaj, po latach, życie jest niemal kanonicznym przedmiotem dociekań, pojawiły się badania nad pojęciem „nagiego życia” i tak dalej. Od samego początku jakoś to przeżuwałem. Nie żebym był taki przenikliwy, ale po prostu pojęcie życia wydawało mi się zawsze podstawowe. Z tym że rozumiałem je może trochę inaczej. Mniej w kategoriach biopolitycznych, jak to się potem upowszechniło, a bardziej jak w przytoczonych słowach studenta, to znaczy wątpienia egzystencjalnego. Czegoś, co mamy, co nas napędza, ale przed czym też uchodzimy. W ten sposób wracamy do początku rozmowy.

To nie jest też wątpienie karzejańskie, które ma na celu zbudowanie systemu wiedzy pewnej.

Oczywiście nie. To już by było bliższe fenomenologicznemu zawieszeniu, wzięciu w nawias czy przekreśleniu, wymazaniu gumką...

Nie jest też zaczerpnięte z metody dialektycznej.

Nie. Rzeczywiście niekoniecznie. Dlatego też, gdy myślałem o braku, tak mnie zainteresowało *Ma być czysto*.

Czytelnicy CzK tego nie wiedzą, ale poprosiłem Pana Profesora o wskazanie dowolnego tekstu, bez ograniczeń co do epoki czy gatunko-

wych, o którym moglibyśmy chwilę porozmawiać. Gdy się umawialiśmy na rozmowę, zaproponował Pan: „Wiele się mówi o książce Anny Cieplak *Ma być czysto*, zdobyła już trzy nominacje do znaczących nagród. Może o tym? Choć to niby o gimnazjum”. Skoro „niby o gimnazjum”, to rozumiem, że jest o czymś innym.

Na tę książkę patrzę trochę z wnętrza pewnych doświadczeń, a trochę z perspektywy wieku. Może wpięrow trochę o tych doświadczeniach, choć one nie są najważniejsze. Patrzę na tę książkę z perspektywy wiary, to znaczy wierzę, że jest ona prawdziwa. Wiem, że Anna Cieplak włożyła wiele serca w świetlicę „Krytyki Politycznej” w Cieszynie, że przez dobre kilka lat pracowała z dziećmi. Byłem świadkiem jej różnych działań, więc doskonale wiem, że tu nie tylko chodzi o słuch literacki, który zresztą niewątpliwie posiada, ale także i o kawał życia. Z tej perspektywy, która dla czytelnika nie musi być najważniejsza, ale nie mogę się od niej odżegnać, to jest książka *godna wiary*.

Z perspektywy wieku, gdy czytam tę książkę jako człowiek stary, patrzę na nią pewnie inaczej, niż autorka by sobie życzyła. Dla mnie jest to książka dystopijna. Patrzyłem na nią, mając dziś lat 70, jako na wypowiedzianą przez kogoś (mam na myśli bohaterki), kto będzie rządził tym krajem za lat 10, 15, 20. I wtedy mnie trochę zmroziło. Czytałem i czytam tę książkę z perspektywy, jakby był to trochę Orwell, trochę 451 stopni *Fahrenheita*. Nie odsądza-
jąc nikogo od czci i wiary, tylko

zastanawiając się nad nieprzyległościami dwóch światów. Tego świata, w którym wzrastałem, który mi towarzyszył, i tego, którym te młode osoby będą zarządzać, będą w nim uczestniczyć, funkcjonować za lat 10. To jest takie moje, idiosynkratyczne i chyba bardzo szczególnie spojrzenie, którego autorka na pewno by nie podzieliła, ale to jest może i przywilej wieku.

Ta dystopia widoczna jest też w tym, że jest to książka, w której nie ma wygranych. Wszystkie przedstawione instytucje: rodzina, państwo, szkoła, a nawet ogólnie rzecz biorąc, organizacja naszego życia, wszystkie one nie zdają egzaminu. Zdają go tylko do tego miejsca, do którego wszystko idzie utartym biegiem rzeczy. Wystarczy niewielkie zakłócenie typu kradzież batonika w sklepie i cały system się sypie, okazuje się kompletnie ślepy. To paradoks. Im więcej mamy kamer, które pilnują, inwigilują, badają, śledzą, zapisują, tym bardziej nie jesteśmy zdolni do poradzenia sobie z tym, co na tych kamerach zapisano. Wstrząsający jest ten niegodny pochwały oczywiście, ale w zasadzie błahy epizod z kradzieżą batonika. Nie musi być zresztą całkowicie wymyślony. Wszyscy pamiętamy przecież sprzed lat kilku ogromne zawirowania prawne wokół tego, że pewna pani rencistka faktycznie zwinęła batonik w sklepie, po czym się okazało, że Bóg wie jakie armaty prawne wystrzeliły w tym momencie. Z tego punktu widzenia jest to książka przykra, ponieważ ukazuje bezradność i beziłę jednostki, która jest uwikłana w obowiązujące sposoby organizacji życia, bez których

nie możemy sobie dać rady, gdyż jakoś to życie trzeba sobie zorganizować. Ta książka pokazuje niezwykłą ułomność systemu i jest oparta na paradoksie (tu wracam do początku naszej rozmowy): im silniejsze są definicje organizacji i definicje środków, którymi się one posługują, tym gorszy jest efekt ich działania.

Nawiązując do dyskursu dystopijnego: w *Ma być czysto* następuje też chyba istotna zmiana, zmiana komunikacyjna. 1984 czy 451 stopni *Fahrenheita* to również książki o zagładzie książek. U Ciepłak książek już w ogóle nie ma. Zarówno proces enkulturacji, wymiany wiedzy, jak i formacji pokoleniowej dokonuje się innymi mediami. Ale wiara w powieść jest chyba na miejscu – koleżanka pokazała ją paru kuratorom sądowym, a oni powiedzieli: „tak właśnie jest”.

Dlatego też ja jej wierzę. To jest jej wielki atut. Ale u Ciepłak faktycznie książek już nie ma. Chyba nie są nawet nigdzie wspomniane... Może ktoś musiał *W Pustyni i w puszczy* przeczytać, ale wszystko jest do znalezienia w internecie... Specjalnie powołuję się na czyjaś uwagę (nie jestem już w tym biegły), ale ktoś wspomniał, że to świat, w którym nawet SMS-y nie funkcjonują. To następny etap, zapewne kwestia nie tylko mediów społecznościowych, ale i nowszych sposobów komunikowania.

Mam cytat: „Dziewczyny siedziały na czerwonej kanapie w pokoju Julki. Od czasu «szlabanu» gadały tylko na przerwach albo jak Julka złapała gdzieś wi-fi, bo Mama

zablokowała jej transfer danych w komórce i odpięła kabel sieciowy w domu. Zostały ewentualnie esemesy, ale to jest jak pisanie listów”.

Ten list zresztą charakterystycznie powróci. Może powiedzieć, że to jakieś światło, byłoby za dużo, to nie jest silny element, niemniej gdy Oliwka pisze do Julii list z domu poprawczego, to Julia trzy miesiące się zbiera, ale w końcu siada i pisze. Autorka co prawda nie mówi tego wprost, ale chcę wierzyć, że to faktycznie list: pisany piórem, długopisem, na papierze. Pewien ślad odnowy jest.

Ale inna ciekawa sprawa. W tej książce jest mało imion. Jest dużo ludzi, ale mało imion. Tam są „airmaksyary”, jest „Chomik”, pojawiają się inicjały, jak gdyby następowała powolna utrata imienia. Zaczynają za to znaczyć elementy stroju (airmaksyary). To dość krótkie prozy są, ale pojawiają się – na tyle, na ile to możliwe – drobiazgowo opisy różnych rodzajów makijażu, podkładów na powieki. Wielki udział rzeczy. Z jednej strony ten świat staje się bezduszną machiną, z drugiej – ludzie całkiem dobrowolnie zrzekają się swojego miejsca, ustępują *na rzecz rzeczy*.

Imiona własne wiążą się z własnością, o której rozmawialiśmy. Idę tropem wyczytanym u Pana, gdy w jednym z esejów przypomina Pan, że francuskie *propre* to tyleż „własne”, co i „czyste”. Gdybyśmy uprawiali kaskaderską gimnastykę retoryczną i przenieśli tytuł książki przez francuszczyznę, mógłby on znaczyć „ma być czysto”, ale

i „ma być własne”. Model zaprogramowanej przez system podmiotowości spełnionej, tożsamej z sobą, byłby modelem podmiotowości czystej. U Pana natomiast (i u Cieplak też) podmiot jest zawsze brudny.

Tak. Skontaminowany. Faktycznie tak myślę o podmiocie i pewnie Anna Cieplak też by się podpięła.

Ale kiedy pomyślimy o tym, że bohaterki dążą do osiągnięcia pewnej podmiotowości, to czystość staje się bardzo dwuznaczna. Z jednej strony system na pewno chciałby mieć czyste podmioty, w tym sensie, że są poza podejrzeniem, więc nie trzeba się nimi zajmować. Śledzi się je cały czas, ale jak są czyste, to jest dobrze, nie mamy zatrudnienia. Czyste także jako dobrze określone: mają nie ksywkę, ale imię i nazwisko, adres i tak dalej. Z drugiej strony te dziewczyny, które definiują się w dużej mierze przez rzeczy, czyli coś, co może mieć każdy, wchodzi w obszar czystości wspólnej. Ale w tym momencie ona zostaje zabrudzona od środka, ponieważ to jest czystość taka sama dla wszystkich. A skoro tak, to przestaje być wyznacznikiem odrębności. To bardzo zagmatwana sprawa, ale wydaje mi się, że to też jest książka o kłęsce dążenia do czystości.

W recepcji krytycznej tytuł niekoniecznie się pojawia.

To prawda. W książce zresztą nie ma nic takiego, co nawiązywałoby do słowa „czysto”.

A rozmowa z Panem pozwala mi dostrzec to silne, bezoso-

bowe „ma być”, interpelację wobec podmiotu ze strony systemu. Wyłonienie się podmiotów nie przechodzi jednak tak gładko. Chociażby przy różnicy klasowej: z jednej strony ma być zacierana przez gest przyjaźni niewystępującej na równych prawach, z drugiej – określa świadomość bohaterek.

Ale proszę zwrócić uwagę, że to nie unieważnia pierwszej części Pana wypowiedzi. Jeśli system chce, aby było czysto, to posługuje się w tym celu między innymi narzędziami segregacji klasowej. Czysto polega na tym, że inaczej jest się czysto w grodzonym osiedlu, a inaczej w odmiennych przestrzeniach, co niedawno brutalnie udowodnił tragiczny pożar wieżowca w Londynie. Nie ma tutaj niekonsekwencji. To zresztą bardzo Derridiańska uwaga, że system, dążąc do czystości, sam generuje brudy, które następnie opakowuje, aby wyglądały tak, żeby było czysto. Czyli generujemy brud w postaci byle jakich mieszkań, w których ludzie umierają, gdy te mieszkania się zapalą, ale opakowujemy to ładnie jako „opieka społeczna” czy też „mieszkanie municypalne”. Pod tym względem to bardzo zjadliwa książka pod adresem tego typu struktur i tego sposobu organizacji świata.

Derridiańskim skrótem: chodziłoby o wpisana w opiekę socjalną nieuchronność autoimmunologicznej logiki, która będzie podważała „dobre intencje”?

Nie wiem, czy należy zachęcać autorkę do napisania dalszego ciągu, ponieważ to mogą być zabójcze rady. Anna uzna

sama, co zrobić dalej, ale bardzo chętnie przeczytałbym, jak widzi dalsze losy bohaterek. Czy one się wybiją z tych kapsułów, w których system je zamknął, czy nie? Istnieje przecież teoria, że krąg biedy jest kręgiem zaklętym i jeżeli można wskazać wyjątki, to tylko potwierdzające regułę. Książka w pewnym momencie się urywa (nie jest to urwanie w kompozycji, nie robię z tego zarzutu) – jest próba nawiązania kontaktu listem, późniejsze spotkanie, ale co będzie dalej, tego nie wiemy. Bardzo bym chciał się dowiedzieć.

Kompozycyjnie spina jednak książkę bardzo mocny zarzut pod adresem sposobów, w jaki system społeczny opresyjnie kanalizuje seksualność. W tym sensie to też jest książka interwencyjna, której zaleta polega na tym, że będąc książką interwencyjną, przekracza własny interwencjonizm.

To prawda, kwestia seksualności pojawia się też zaraz na początku – kiedy nawiązuje się relacja między Oliwką a Chomikiem. Ma Pan rację, to jest książka interwencyjna, której interwencjonizm nie razi. I w ten sposób opowiada też, nie wprost, o szkole, choć ta jest rzadko wspominana. Ale właśnie seksualność i to, jak się ona powoli w powieści kształtuje, oznacza bardzo palący komentarz do sytuacji w szkole. W ten sposób to też książka o niewydolności i nieudolności szkoły. I dlatego żadna instytucja nie wychodzi cało, obronną ręką. Tam chyba nie ma w ogóle wzmianki o Kościele, choć to ciekawe, czy nie ma go na tej samej zasadzie, jak nie ma w niej książek (czyli tę

fazę mamy za sobą), czy też były inne powody.

Zresztą Cieplak ma świetny słuch językowy. W jej powieści są zdania, od których ciarki chodzą po plecach. To rzecz znakomita i życzę jej, żeby dostała którąś z nagród, do których jest nominowana, bo jest tego warta.

Trzymajmy zatem za to kciuki. Jeśli Pan Profesor pozwoli na ostatnie pytanie, to chciałbym powrócić do kwestii, której nie udało nam się poruszyć we wcześniejszej rozmowie. Przyjaciele, komponując dla Pana książkę jubileuszową, *Polytropos*, zawarli w niej *Zdania ze Sławka*, w tym stwierdzenie: „Jestem facetem, który chciałby się starzeć jak Clint i od czasu do czasu dawać w mordę”. Poprzednio stwierdził Pan, że za długo musiały się z tego zdania tłumaczyć. Teraz mamy na to czas.

[śmiech] Clint to oczywiście Clint Eastwood, którego proszę traktować jako figurę popkultury, ponieważ nie zawsze jego polityczne poglądy, zwłaszcza ostatnie, są mi bliskie. Pierwsza część tego zdania jest zrozumiała i właściwie prowokuje do pytania zupełnie innego, którego tutaj nie będziemy mogli tropić, gdyż to temat na inną rozmowę, ale to pytanie o starość. Akurat starość Eastwooda, podobnie jak starość Micka Jaggera, to bardzo atrakcyjne wersje starości, które pokazują, że człowiek – pomimo, powiedzmy dyplomatycznie, trudnego życia – potrafi sobie dać radę, być długo czynnym. I co ciekawe, potrafi to robić, przynosząc satysfakcję innym ludziom.

Człowiek stary nie musi być, po pierwsze, zamknięty, po drugie, nie musi być upostaciowieniem schyłku, ale może także być źródłem pewnego rodzaju radości i pokrzepienia. Muszę powiedzieć, że z zapałem tchem oglądałem filmową wersję koncertu Rolling Stoneów w Hawanie, kiedy ludzie ze łzami w oczach mówili „50 lat czekaliśmy”. I się doczekali: zaczęli, gdy Jagger miał 20 lat, a doczekali, gdy miał chyba 74. Jest w tym coś poruszającego.

Tu urywam, ale ze starością mamy wielki problem, choć jestem przekonany, że o starości trzeba mówić z młodymi, potrzebne są uniwersyteckie seminaria o starości. Nie chcę mówić o banałach, że do starości trzeba się przygotować, bo tego oczywiście nie da się zrobić, ale mam wrażenie, że zmiatamy ją pod dywan i jeśli już mówimy, to tylko w perspektywie demograficznej: starzejemy się, więc będą potrzebne pielęgniarki.

A co z dawaniem w mordę? Pewnie to marzenie, które jest dość obiegowe, nieoryginalne. Żeby w tym wielkim zamęcie świata, w którym działa tyle różnych sił, wobec których człowiek najczęściej czuje się kompletnie ubezwłasnowolniony (patrz logika: nie pójde do głosowania, bo to i tak nic nie zmieni; 49% Polaków tak robi, co jest zastanawiające), sił, jak nam się czasem wydaje, nieomal zupełnie anonimowych, które nas przesuwają jak pionki na szachownicy, *mieć coś do powiedzenia*. Rozumiem, że stwierdzenie o dawaniu w mordę jest ryzykowne i trzeba je traktować metaforycznie, ale pojmuję

je jako marzenie jednostki, która chciałaby, angażując się w świat, w sposób rozumny wprowadzać w nim pewne zmiany.

Metafora jednak dość obrazowa...

Bo Eastwood obsadzał się w obrazowych filmach. I ryzykownych. *Dirty Harry* to figura bardzo ryzykowna – dochodzenia prawa na własną rękę. Ale to się mieści w całej mistyce westernu, tego, z czego zrodziła się Ameryka i czego pewnie i dzisiaj do końca nie rozumiemy.

Łagodzę to „dawanie w mordę”. Bardzo mi dokuczają dzisiejsze, coraz mniej wyrafinowane, grubą nicią szyte ataki na wszystko, co jest niepaństwowe, obywatelskie, *non-government*. Próba siłowego przejęcia samorządów, kombinowanie z odcięciem samorządów od pieniędzy na kulturę, prymitywna polityka strachu przed „obcym”. Gdy są jacyś „oni”, którzy ustawiają, co mam oglądać, co mam czytać, budzi się chęć „dania w mordę”, czyli wymyślenia sposobu działania, w którym jednostka mogłaby zachować swoją integralność.

Dać w mordę, czyli działać w sposób, który przynosi szybki i wymierny skutek?

Tak. I zarazem z przekonaniem, że świat nie musi być do końca i w każdym względzie taki, jaki sobie wykrojono z tego systemu. Choć to się wiąże oczywiście z ryzykiem, że świat może oddać.

Katowice, 20 czerwca 2017 roku